

Piotr Wilczyński

PRÓBA SAMOBÓJCZA
MAGDALENY SYNOCKIEJ



NOVAE RES

PANI SAMOZAGŁADA

1 Czasami emocje wykrzywają mi twarz. Dzieje się tak, kiedy przypomnę sobie coś głupiego, czego się dopuściłam, albo kiedy nagle coś sobie uświadomię. To może być wszystko. To może być coś, co powiedziałam po pijanemu albo w stanie narkotycznego upojenia sytuacją. Na przykład wtedy, kiedy powiedziałam koledze, że spałam z jego dziewczyną, zanim zostali parą, co nie było prawdą, a prawda ta, jak wstrętny robał, wypełzła później na powierzchnię. To może być coś, co zrobiłam, bo wydawało mi się słuszne, a okazało się nienormalne. Tak jak wtedy, kiedy uderzyłam w twarz koleżankę, gdy zaczęła panikować. Sądziłam, że to świetny pomysł na przywrócenie jej równowagi emocjonalnej, a okazało się, że to nie tego typu sytuacja, a moja reakcja została uznana za przejaw hysterii. To może być też uświadomienie sobie jakiegoś ogólnego kontekstu. Tak jak wtedy, kiedy dociera do mnie, że spieprzyłam sobie życie.

Na tę ostatnią myśl przeppełniło mnie, tak często u mnie występujące, uczucie pogardy dla własnego istnienia. Sterczałam jak idiotka na pustym peronie, usiłując rozgonić niepożądane wrażenia.

Stałam tam, ponieważ w drodze powrotnej do domu zatrzymałam się trochę dłużej na stacji metra. Przeszłam przez hol i wkroczyłam na sąsiedni tor z zamiarem poczekania na pociąg. Nie zamierzałam jednak do niego wsiadać. Jechał tam,

skąd właśnie wracałam. Spojrzałam na tablicę. Dwie minuty do przyjazdu.

Myśli samobójcze chodziły mi po głowie już od dłuższego czasu. Początkowo za metodę opuszczenia tego świata wybrałam sobie sznur, ale zrezygnowałam z tego pomysłu z powodów organizacyjnych (na czym, gdzie, kiedy, co i jak – przecież nie mogłabym zrobić tego w mieszkaniu). Myślałam również o pocięciu się, ale to za dużo bałaganu. Tabletki odpadały. Zawsze mogliby mnie odratować, a nie o to przecież w samobójstwie chodzi, by zwiększać i tak już potężny, uciskający niczym drut kolczasty, wstyd. Ogólnie wykluczone było wszystko, co narażało Agatę na znalezienie mnie martwej po powrocie z pracy. Dlatego stanęło na rzuceniu się na tory. Ten sposób wydawał się ponadto pewniakiem – pod warunkiem, że pociąg będzie jechał z odpowiednią prędkością (chyba). To właśnie chciałam na tej stacji sprawdzić. Tak na wypadek, gdybym już nie mogła wytrzymać, bo w sumie to wcale nie chciałam umierać, przynajmniej na razie. Paradoksalnie możliwość zakończenia własnego istnienia dodawała mi otuchy, bo przecież zawsze można to zrobić, jeżeli będzie już bardzo źle.

Takie myśli pojawiały się wbrew mojej woli, tak jak wbrew mojej woli i poza wszelką kontrolą działo się ze mną wszystko inne. Brało się to z bólu, z duszącego wszelką godność osobistą lęku. Pani Samozagłada – odrzucone przez świat dziecko bez duszy, którą można by przehandlować za odrobinę szczęścia czy choćby spokoju.

Przyjrzałam się torom. Nie były takie, do jakich przywykłam. Oprócz dwóch szyn równoległe ciągnących się po obu stronach posiadały jeszcze jedną, usadowioną pośrodku i wzniesioną wyżej niż tamte. Od razu było wiadomo, że skok na coś takiego musi skończyć się upadkiem, dlatego wymyśliłam sobie, że mój ewentualny ostateczny ruch musiałby nastąpić tuż

przed nadjeżdżającą kolejką. Nie za wcześnie i – jak nietrudno się domyślić – nie za późno.

Pociąg nadjechał nieco przed czasem. Wjechał na peron, już zwalniając, przez co uznałam, że jego prędkość może być niewystarczająca. Mogłam się jednak mylić, przecież nie jestem znawczynią odbierania sobie życia poprzez rzucanie się pod różnego rodzaju pojazdy. Trzeba jednak dmuchać na zimne. Na szczęście znałam stację, gdzie pociągi wpadają na peron rozpedzone, jakby brały udział w jakimś wyścigu, i dopiero po chwili zaczynają hamować. Jedyny szkopuł jest taki, że trzeba udać się w ponad półtoragodzinną podróż do innej dzielnicy miasta. No ale czego nie robi się dla pewności, że cel zostanie osiągnięty.

Odwróciłam się i ruszyłam w stronę wyjścia.

2 Londyn tego dnia był niemalże bezchmurny, przynajmniej na razie. Miasto to miało bowiem w zwyczaju zmieniać swe nastroje nad wyraz wręcz nieprzewidywalnie. Świeciło słońce, ale za pół godziny mógł zacząć padać deszcz, po czym znowu mogły pojawić się złociste promienie – po to tylko, żeby ponownie dać się pochować czarnym chmurom. Zupełnie jak moje emocje. Ja i Londyn rozumieliśmy się doskonale.

Agata miała wolne. Jedyne w tym tygodniu, bo taki był w jej przypadku koszt spędzenia rocznicy moich narodzin poza miejscem pracy. Ja od kilku tygodni nie pracowałam. Nie byłam w stanie. Napady lęku i paniki nie pozwalały mi normalnie funkcjonować. Nie potrafiłam nawet czytać, nie mówiąc o wykonywaniu obowiązków i rozmawianiu z ludźmi. Na samo wspomnienie o tym zaczynałam się bać.

Poszłyśmy do sieciówki zrobić zakupy. Spacerem na Tooting Broadway i z powrotem. Przez większość czasu milczałyśmy.

Miałam przeraźliwy bałagan w głowie i napotykałam trudności przy wypowiedaniu nawet najprostszych sentencji, o prowadzeniu regularnej konwersacji nawet nie wspominając. Byłam kompletnie zamknięta w sobie, zatrzaśnięta w ciemnej piwnicy mnie samej.

Kupiłyśmy wszystko, co trzeba. Głównie artykuły spożywcze.

Po obiedzie położyłyśmy się i oglądałyśmy film, leżąc obok siebie z laptopem na moich kolanach. Nie było tortu, grona znajomych, głośnej muzyki. Był zwykły dzień – moje urodziny.

Myślałam o seksie, na punkcie którego miałam obsesję, od zawsze, jak mi się zdaje, a ostatnio do potęgi. Nie czułam fizycznej potrzeby ani nawet chęci. Odczuwałam przymus psychiczny, potrzebę bliskości, w przeciwnym razie wydawało mi się, że Agata się oddala, że mi umyka. Bałam się. Czułam się tak, jakbym ją traciła, dlatego desperacko dążyłam do zbliżenia, a najdobitniejszym jego aktem był właśnie seks.

Chciałam się kochać wieczorem, umierałam jednak ze strachu przed inicjacją. Bałam się, że ona nie będzie chciała. Bałam się tego, jak się wtedy będę czuła i jak zareaguję, bo od jakiegoś czasu traciłam również kontrolę nad swoim zachowaniem. Panicznie bałam się odrzucenia, w jakiegokolwiek formie. Sama ta myśl wystarczyła, żebym zaczęła odczuwać lęk. Leżałam i czułam, jak we mnie rośnie, wije się pod skórą, czeka na atak. Wizytę u kolejnego psychologa miałam umówioną dopiero za prawie dwa tygodnie. Brałam wprawdzie nowe leki, ale jeszcze nie zdążyły się rozkręcić.

Chwyciłam Agatę za rękę.

– Kochasz mnie? – zapytałam, tak jak miałam to ostatnio w zwyczaju.

Codziennie zadawałam jej pytania tego typu. Zawsze będziemy razem? Nigdy mnie nie zostawisz? Zestarzejemy się razem? Zadawałam je, żeby się upewnić, czy rzeczywistość jest

taka sama, jak ją pamiętam, bo traciłam grunt pod nogami. Potężny lęk pozbawił mnie kontaktu z rzeczywistością. Żyłam w piekle własnych uczuć, w piekle wyobrażeń i natrętnych myśli, nad którymi nie tylko nie miałam żadnej władzy, ale które miały totalną kontrolę nade mną, dominując nad moim umysłem i często ciałem.

– Oczywiście, że cię Kocham! – odpowiedziała. – Wiesz, że zawsze będziemy razem!

Agata wiedziała, jak odpowiadać. Czasami nawet sama z siebie mówiła mi te rzeczy, a ja jej wierzyłam. Zaufania do niej jeszcze nie straciłam. Wiedziałam, że mówi prawdę. Nawet jeżeli nie miała ochoty mówić tego w konkretnym momencie, to wiedziałam, że chce ukoić mój ból, zlikwidować strach.

Ścisnęła moją dłoń i uśmiechnęła się, a jej uśmiech był taki szczery, delikatny, taki przyjemny. Poczulałam ulgę, a zaraz potem pojawiło się poczucie winy.

– Przepraszam, ja...

– Wszystko dobrze, Kochanie. Nigdy, przenigdy cię nie zostawię!

Odwzajemniłam uśmiech, ale czułam się winna. Nieustannie. Winna tego, że zadaję pytania, winna tego, że chcę się przytulić, winna tego, że Kocham. Zaczynałam więc nienawidzić, przez co czułam się jeszcze bardziej winna. Winna tego, że jestem.

Wieczorem uprawialiśmy seks. Przełamałam się. Aga też chciała, zaczęłam więc całować jej ciało, pieścić delikatnie piersi i pośladki. Wsadzając rękę pomiędzy jej nogi, czułam, że jest mokra. Ja miałam z tym problem. Po tabletkach, które brałam, byłam sucha, ale ona zawsze potrafiła zrobić tak, że bym choć trochę zwilgotniała. To wystarczało.

Kochałyśmy się, a ja udawałam, że jestem kimś innym, z kim teraz pieprzy się Agata. Wyobrażałam sobie, że jestem którąś z jej koleżanek. Pewną siebie, wartościową. I czułam się winna.

3 Umarłam, a że za życia byłam prawdziwą suką, naturalną kolejną rzeczą było, że trafię do piekła, piekła, w którym jestem teraz – pomyślałam, otwierając kolejną puszkę piwa, którym zapijałam ohydny smak wódki.

Obiecałam sobie, że już nie będę się tak zapijała. Obiecywałam sobie wiele razy, tak jak wiele razy obiecywałam sobie wiele rzeczy. Miliony postanowień jak opary wokół mózgu kłębiły się nad ruinami woli. Musiałam jednak zalać wielką dziurę, która tkwiła we mnie zamiast duszy. Pogłębiła się ona i poszerzyła wczorajszego wieczoru, jak czarna studnia bez dna i granic. Siedziałam więc na podłodze otoczona butelkami i piłam w towarzystwie dźwięków dobiegających z usadowionego na łóżku komputera, który jakimś cudem przeżył wydarzenia poprzedniego wieczoru. Słuchałam w kółko tego samego utworu. Tekst opowiadał o człowieku dążącym do autodestrukcji i napisany był z perspektywy zaburzenia, choroby, na którą ów człowiek cierpi. Pasowało mi to idealnie, każda linijka. Każdy wers przemawiał do mnie prawdą, krzyczał szaleństwem:

*Jestem twoją nienawiścią
Przerodzoną w miłość
Jestem twoim lękiem
Przerodzonym w odwagę*

*Jestem histerią w twoim sercu
Przerodzoną w spokój
Jestem twoim urojeniem
Przerodzonym w pewność*

*Jestem kłamstwem w twojej głowie
Przerodzonym w prawdę
Jestem dnem, które osiągasz
Przerodzonym w szczyt*

*Zabiorę cię tam, gdzie nie chcesz pójść
Zaprowadzę cię tam, gdzie nie chcesz być
Jestem częścią ciebie, twoim przekleństwem i zbawieniem
Jestem twoją drogą, twoim piekłem i niebem*

Wczoraj czekałam na powrót Agaty z pracy. Rano umówiliśmy się na romantyczny wieczór. Kupiłam wino i różę, którą zamierzałam gładzić jej ciało, i czekałam. Myśląc o wieczorze odpędzałam towarzyszące mi przez cały dzień przerażenie. To było jak światło w tunelu, jak przyjazna dłoń podana w gęstej mgle.

Agą kończyła pracę o szóstej. Po siódmej zazwyczaj była w domu. Wskoczyłam pod prysznic, umyłam swoje długie blond włosy, starannie zrobiłam makijaż, podkreślając błękitne oczy, które ona tak uwielbiała, i włożyłam wyzywającą bieliznę kupioną wcześniej na tę właśnie okazję: koronkowe stringi, a do tego białą koszulkę na ramiączkach (biały top – taki, jaki nosiłam, kiedy ją poznałam), przez którą prześwitywał czarny, uwydatniający piersi, stanik.

Czekałam.

Gdy wybiła siódma, zaczęłam się denerwować. Zwykle dzwoniła tuż po pracy, żeby poinformować, że już jedzie albo że się spóźni. Tak się umawialiśmy od czasu, kiedy zaczęłam dostawać tych napadów. Postanowiłam jeszcze poczekać. Około wpół do ósmej wstałam i rozpoczęłam swój rytuał neurotycznego krążenia po pokoju. Z kąta w kąt. Bez celu, bez sensu. Czułam, jak narasta we mnie panika. Moje ramiona stały się odrętwiałe, a nogi miękkie niczym z piany. Oddychałam coraz ciężiej i szybciej, próbując zmniejszyć coraz silniejsze napięcie w klatce piersiowej. Tylko nie dzwoń! – pomyślałam. – Jeszcze nie teraz, poczekaj. Może coś ją zatrzymało w pracy i nie może zadzwonić. Spokojnie.

Wiedziałam, że jeśli zadzwonię, a ona nie odbierze, to będzie to bilet w jedną stronę. Histeria obejmie mnie całą i już nie będzie odwrotu. Krążyłam wściekle po pokoju, próbując zachować resztki równowagi emocjonalnej. W końcu nie wytrzymałam i wzięłam telefon do ręki. Jeszcze tylko zawahanie, ostatnia próba opanowania się, zanim otworzę bramy piekieł. A może odbierze? Powie wtedy, że coś jej wypadło i że już jedzie, że za chwilę będzie ze mną. Dzwonię!

Trzęsącymi się dłońmi wklepałam numer. Nie miałam Agi zapisanej w pamięci komórki. Irracjonalnie wierzyłam, że jeżeli zapiszę jej numer, to stanie się coś złego, zostawi mnie albo... Na jakimś poziomie świadomości wiedziałam, że to bzdura, ale lęk był silniejszy. Kazał mi tego nie robić, bo jeżeli coś złego się jednak stanie, to zostanę pochowana żywcem pod zwalami magicznego myślenia, nieodwracalnie utwierdzając się w destrukcyjnym przekonaniu, że od tych chorych rytuałów zależy mój los.

Pierwszy sygnał, drugi, trzeci. Po czwartym już wiedziałam, że nie odbierze, profilaktycznie jednak zaczekałam do włączenia się poczty głosowej.

Odłożyłam telefon na łóżko, czując, jak opuszczają mnie siły, a bezradność zalewa bez żadnego umiaru. Czulałam, jakby moje serce ścisnęła potężna pięść. Biło jak oszalałe, próbując wyrwać się z uścisku. Mój oddech stał się tak szybki, że z trudnością łapałam powietrze, krztusząc się nieznośnie w beznadziejnych próbach uspokojenia. Pośpiesznie włożyłam spodnie, kurtkę, chwyciłam telefon i próbując opanować nieskoordynowane ruchy, wyszłam z domu.

Szybkim krokiem zmierzałam w stronę głównej ulicy. Przystanęłam na chwilę, żeby napisać do Agi wiadomość. Wiedziałam, że niebawem będę dzwonić co pięć minut, wiedziałam, że to tylko kwestia czasu, zanim całkowicie utracę nad sobą

kontrolę. Pisząc wiadomość, dawałam sobie szansę. Miałam nadzieję, że odpisze, że nie może odebrać i wszystko jest okay, że niedługo będzie.

Doszłam do głównej ulicy, po czym skręciłam w lewo, kierując się w stronę sklepu. Moją głowę wypełniały natrętne myśli o zdradzie i porzuceniu. W umyśle przeskakiwały obrazy Agaty uprawiającej seks ze swoim szefem albo z którąś z koleżanek czy kolegów z pracy. Były wymieszane z myślami o śmierci Agaty w wypadku. Bolesne impulsy, przepełnione lękiem przed utratą ukochanej, przechodziły przez całe moje ciało i kończyły w głowie, wybuchając niczym petardy.

Kupiłam siedem piw – zawsze kupowałam siedem, tak jak wszystko zawsze robiłam siedem razy, od biedy cztery – wino chciałam zachować na romantyczny wieczór. Desperacko trzymałam się nadziei, że jeszcze nie wszystko stracone, chociaż doskonale wiedziałam, że do żadnych miłosnych uniesień dziś już nie dojdzie.

Tak w sklepie, jak i w drodze powrotnej czułam na sobie wzrok ludzi. Patrzyli na mnie, oceniali. Widziałam ich myśli: Wariatka! Psycholka! Co się z nią dzieje? Odbiło jej! Widziałam oznaki strachu na ich twarzach: Jest niebezpieczna? Lepiej trzymać się od niej z daleka!

Gdy wróciłam, od razu wyjęłam ze spodni telefon. Przesądnie trzymałam go zawsze w lewej kieszeni. Wiadomość od Agaty!

Poszliśmy jeszcze do pubu. Zadzwoń, jak wyjdę.

Usiadłam na łóżku. Napięcie ze mnie zeszło, a w jego miejsce pojawiła się bolesna pustka, tak jakby cały mój świat w jednym momencie przestał istnieć. Nadzieja na wspaniały wieczór pękła bezpowrotnie. Agata wybrała innych. Czułam się zawiedziona i opuszczona, zepchnięta na margines.

Siedziałam na łóżku i piłam piwo, słuchając muzyki. Najpierw pojawił się gniew. Byłam wściekła na Agę. Jak mogła mi

to zrobić? Przecież mi obiecała! Rano jeszcze rozmawialiśmy, planowałyśmy! Jak mogła tak mnie wystawić?!

Po chwili gniew ustąpił nowo zrodzonej nadziei. Może da się to jeszcze wyprostować? Może poszli coś uczcić? Super utarg albo inną okazję? Aga lubi się integrować, potrzebuje do szczęścia ludzi, jak każdy człowiek. Normalny człowiek. Przecież nie mogę jej tego odbierać! Ona mnie wspiera, ja też muszę coś dać od siebie – pomyślałam, trochę się uspokajając.

Kiedy minęła dziewiąta, zaczęła się nerwówka i chodzenie po pokoju. Emocje wzbierały we mnie niczym fale wzburzonego oceanu. Wiedziałam, że nadchodzi sztorm, wiedziałam, że nic nie jestem w stanie z tym zrobić. Tonęłam, co chwilę spoglądając na wyświetlacz komórki. Lęk mieszał się z wściekłością, rozczarowaniem i uczuciem opuszczenia. Natrętne myśli i impulsy miały się w moim bezradnym umyśle jak rój rozjuszonych pszczoł. Lęk: Co ona teraz robi? Gdzie jest? Czy wróci? A co, jak nie wróci? Boże, co ja wtedy zrobię? Gniew: Dlaczego ona mi to robi?! Dlaczego oni są ważniejsi niż ja?! Kurwa, ona się w ogóle ze mną nie liczy! Ma mnie kompletnie w dupie!

Około wpół do dziesiątej puściły mi nerwy. Stało się, panika odebrała mi kontrolę. Zadzwoiłam. Nie odebrała. Zadzwoiłam jeszcze raz, tak jakby teraz miała jakimś cudem odebrać. Gdzieś tam, w głębi, zdawałam sobie sprawę z braku sensu dzwonienia co chwilę, nie miało to jednak żadnego znaczenia. Nie odebrała. Odczekałam kilka minut – nie byłam w stanie więcej – i zadzwoiłam jeszcze raz. Każdy sygnał dawał mi nadzieję, zarazem sprawiając ból. Im więcej sygnałów, tym mniejsza nadzieja, a większy ból. Bezradność. Może tam pojadę, odszukam ją? Ale gdzie pojadę? Znam drogę tylko do połowy, a co później?

Po około dziesięciu telefonach Agata wreszcie odebrała. Momentalnie odczułam wielką ulgę, przyjemną, ciepłą falę

płynącą od żołądka poprzez piersi aż do ramion. Przejrzysta mgiełka oczyszczająca umysł i ułatwiająca oddychanie.

– Halo? – usłyszałam głos w słuchawce.

Od razu wyczułam, że jest pijana. Nadzieja przepadła. Emocje błyskawicznie wezbrały, uderzając jeszcze mocniej. Trzęsłam się jak paralytyk, próbowałam się jednak chociaż odrobinę opanować. Najspokojniejszym, na jaki było mnie stać, głosem zapytałam:

– I jak tam?

W głowie miałam tak wielki bałagan, że nie potrafiłam wydusić z siebie nic innego.

– Siedzimy w pubie. Tak jeszcze z godzinę, może dwie – odpowiedziała zupełnie naturalnie, tak jakby wszystko było w porządku, jakby zepchnięcie mnie do rowu jej życia było całkowicie normalne.

Mieszanka strachu i wściekłości eksplodowała. Desperacko walcząc o resztki władzy nad sobą, czułam, jak robi mi się słabo.

– No... ale przecież się umówiliśmy. Miałyśmy spędzić wieczór razem! – powiedziałam pełnym pretensji głosem, którego wibracji już nie kontrolowałam.

– Przyjadę, Madziu, jeszcze chwila.

Pijacki bełkot ranił moje uszy i rozniecał ogień, który pełzał pod moją skórą. Czułam go wyraźnie, zwłaszcza na przedramionach.

– Agata, jesteś pijana! – powiedziałam uniesionym tonem. – Umówiliśmy się przecież!

– No i niedługo będę, obiecuję – oznajmiła na pozór spokojnie. – I nie jestem pijana. Mieliśmy stresujący dzień i poszliśmy się zrelaksować.

W tle usłyszałam chichot kilkuosobowej grupy. Aga coś do nich powiedziała i zaczęła się śmiać. Płomień zazdrości i poniżenia dołączył do stosu, na którym płonąłam.

– Aga! Jesteś tam? Aga!

Prawie krzyczałam. Czysta panika. Nieskazitelnym amok.

– Jestem. Będę za mniej niż półtorej godziny.

– Będziesz? – zapytałam głosem żalostnej bekisy.

– Będę na pewno!

– Ale na pewno? Będziesz? – wymuszałam obietnicę.

– Na sto pięćdziesiąt osiem procent.

Kiedy użyła tego określenia, trochę się uspokoiłam, bo to oznaczało, że tak właśnie będzie. To było takie nasze prywatne powiedzenie, którego używałyśmy, chcąc podkreślić, że coś jest pewne. Nie mówiłyśmy wtedy: „Na sto procent”, tylko: „Na sto pięćdziesiąt osiem procent”.

– Okay, czekam.

– Pa.

– Pa.

Rozłączyłam się i usiadłam na łóżku, pociągając łyk piwa. Ulga sprawiła, że znowu poczułam się winna. Przecież każdy ma prawo pójść ze znajomymi z pracy na piwo, to żaden problem, problemem byłam ja, popalona i umazana we krwi, poraniona w walce z własnym szaleństwem. Przez chwilę myślałam, żeby wybrać się na upatrzoną przeze mnie stację i rozwiązać problem ze mną raz na zawsze. Bałam się jednak. Chciałam umrzeć na złość Adze, żeby wiedziała, żeby dotarło do niej, jakie cierpienie przetacza się przeze mnie za każdym razem, kiedy mnie tak traktuje, ale – pomimo myśli samobójczych – panicznie obawiałam się śmierci. Do bólu przerażało mnie nieistnienie, wstrząsała mną wizja niebycia na dobre. Strach tym spowodowany wystarczył, bym nie mogła ruszyć się z miejsca.

Siedziałam, piłam i czekałam. Wydawało mi się, że wszystkie moje najgorsze koszmary właśnie stały się rzeczywistością. Uprzytomniłam sobie jednak, że przecież może się stać coś

jeszcze gorszego i zaczęłam się bardzo bać. W mojej głowie panoszyły się myśli o Agacie niewracającej na noc. W wyobraźni widziałam ją, jak leży na łóżku i dyszy, wijąc się w przyjemnych spazmach, pieprzona przez kogoś innego.

– Nie wierzę – powiedziałam do siebie. – Po prostu nie wierzę! Jak ona może mną tak poniewierać?!

Wstałam i znowu zaczęłam chodzić po pokoju.

– Traktuje mnie jak szmatę! W ogóle się ze mną nie liczy! Nienawidzę jej!!! – wykrzyczałam i w tym samym momencie znienawidziłam samą siebie.

Półtorej godziny później Agaty wciąż nie było. Dzwoniłam. Nie odbierała. Tragizowałam, rozpamiętywałam naszą rozmowę. Oschły ton jej głosu wbił się w mój umysł jak gorąca igła. Kiedy odebrała, była już w drodze. Pokonanie odległości z pracy do domu zajmowało jej godzinę i dziewięć–jedenastacie minut. Czekałam i już wiedziałam, co będzie dalej.

Weszła do pokoju i usiadła obok mnie. Chciałam się powstrzymać. Chciałam, żeby było inaczej. Nie mogłam. Przez chwilę milczaliśmy, po czym wypaliłam:

– Jak mogłaś mi to zrobić?! Miałyśmy spędzić wieczór razem! Miałyśmy... Obiecałaś mi!

Z każdym słowem ponosiło mnie coraz bardziej. Kochałam ją i nienawidziłam w tym samym momencie. Dławiłam się własnymi emocjami.

– Wróciłam, jestem tu z tobą.

Jej głos był lekko zmartwiony, ale spokojny. Odpowiadała, jakby nigdy nic. Miała przekrwione oczy, nie była jednak pijana. Najwyraźniej już do reszty traciłam zmysły.

– Dziękuję! – powiedziałam sarkastycznie. – To bardzo ła-
skawie z twojej strony!

Chciałam ją zniszczyć, wdeptać w ziemię, zranić. Bałam się jednak, że przegnę, a ona wyjdzie i nie wróci. Ta myśl obudziła

we mnie lęk, który zastąpił wściekłość. Odwróciłam się w jej stronę i płaczącym tonem niewinnej ofiary zapytałam:

– Dlaczego tak się stało, Aga? Dlaczego mi to zrobiłaś? Powiedz mi, proszę. Jest ktoś inny? Masz kogoś?

Czułam, że coś jest nie tak, że już jej nie zależy.

– Nie ma nikogo, kochanie. Jesteś i zawsze będziesz tylko ty – tłumaczyła. – Mieliśmy ciężki dzień i poszliśmy do pubu się odstresować. – Powtórzyła to, co powiedziała przez telefon.

Nauczona doświadczeniem, wiedziała, że w tym momencie rozmowa ze mną to stąpanie po kruchym lodzie.

Tymczasem moja wściekłość powróciła i wysunęła się na pierwszy plan.

– Ale dlaczego...?! – zaczęłam krzyczeć. – Dlaczego dzisiaj... Przecież się umówiliśmy... Obiecałaś mi... Obiecałaś!!!

– Nie zrobiłam przecież nic złego, Magda. Wypiłam dwa piwa i wróciłam do ciebie.

To stwierdzenie spowodowało mój wybuch. Akurat, dwa piwa!

– Chciałam z tobą spędzić jeden wieczór! Jeden pierdolony wieczór!!!

Straciłam panowanie nad swoim ciałem. Wymachiwałam rękoma, tłukąc pięściami w kolana. Wściekłość osiągnęła granice absurdu. Chwyciłam leżący po mojej prawicy komputer i solidnie się zamachnąwszy, cisnęłam nim o ścianę. Następnie podniosłam kubek i w ten sam sposób rzuciłam nim w szafę. Kawalki porcelany rozprysły się dokoła. Wstałam gwałtownie i obeszłam łóżko. Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Dałabym wszystko, żeby móc się rozplakać, zaznać jakiegokolwiek ulgi.

– Co się dzieje, Aga?! Powiedz mi! Oni są ważniejsi niż ja?!

– Nikt nie jest ważniejszy niż ty.

– To dlaczego mi to zrobiłaś?! Powiedz mi! Dlaczego tak mnie odrzuciłaś?! Nie zależy ci już?!

– Nie odrzuciłam cię, Magda. Przesadzasz.

Myślałam, że osiągnęłam już apogeum, ale gdy tylko to powiedziała, poczułam jeszcze większą wściekłość. Brutalnym zamachem zrzuciłam wszystko, co znajdowało się na komodzie, obok której przechodziłam. Książki, kwiaty, kosmetyki. Wszystko z hukiem zleciało na podłogę.

– Jasne, ja zawsze przesadzam! Ty nigdy nie robisz nic złego! To zawsze moja wina!

– To nie jest niczyja wina.

Ciągle zachowywała pozorny spokój.

– Chcesz mnie zostawić? Powiedz to, po prostu to powiedz!!!

Panował we mnie tak potężny chaos, że nawet nie pomyślałam o możliwej odpowiedzi.

– Nie. Zawsze będziemy razem.

Cały wieczór tak wyglądał. Krzyczałam, rzucałam oskarżenia i pretensje, podawałam w wątpliwość każde jej słowo. W końcu ochłonęłam i poszłyśmy spać, ale w nocy budziłam się, budziłam Agatę i zaczynałam aferę od nowa. Krzyki, insynuacje, prowokacje. Zapewniała mnie o swojej wierności, miłości i lojalności, ale coś mi nie pasowało. Po każdej serii zapewnień uspokajałam się, ale poczucie odrzucenia ciągle wracało.

Rano Aga przytuliła mnie, pocałowała i zapewniła, że wszystko będzie dobrze, po czym ubrała się i niewyspana, poszła do pracy. Chwilę po tym, jak wyszła, ubrałam się i poszłam kupić zapas alkoholu.

Siedziałam. Piłam. Chciałam się odciąć od poczucia winy, od obrzydzenia do samej siebie, od lęku. Chciałam nie myśleć, nie czuć, zniknąć. Chciałam przestać istnieć, zarazem jednak pozostając przy życiu. Nie wiedziałam jednak po co?

Sesja pierwsza

– Czy występowały bądź występują u pani ryzykowne zachowania seksualne? – zapytał.

Był młody, jakoś pod trzydziestkę. Trudno było mi uwierzyć, że jest dobrym psychologiem. Przed nim byłam już u kilku terapeutów i żadnemu nie udało się wzbudzić mojego zaufania. Jednym z powodów był fakt, że o uprawianiu tego zawodu wiedziałam bardzo dużo; w końcu byłam jedną z nich (w pewnym sensie).

Pomimo jednak rezerwy, z którą do niego podchodziłam, było w Pawle coś... coś właśnie, co sprawiało, że rozwijała się we mnie wiara w niego.

– Tak... Znaczy teraz już nie, ale kiedyś tak. Raz na przykład spotkałam w parku mężczyznę. Był późny wieczór. Poszliśmy do pubu, wypiliśmy kilka drinków i zrobiliśmy to w toalecie. Bez zabezpieczenia. Podobnych sytuacji było kilka.

Zapisał coś w notatniku swoimi kościstymi palcami. Był szczupły i schludnie ubrany: koszula, spodnie od garnituru plus czarne lakierki. Półoficjalny ton miał najwyraźniej za zadanie wprowadzać atmosferę rozluźnienia. Nie wiem, czy działało. Wprawdzie z każdą minutą przekonywałam się do niego coraz bardziej, ale nie ze względu na ubiór. Moje zaufanie wzbudzał jego sposób bycia, ton głosu.

– Zresztą... – zawahałam się.

Spojrzał na mnie swoimi czarnymi jak węgiel oczyma z powagą i szacunkiem. Zaczynałam czuć się coraz bezpieczniej.

– Przez jakiś czas pracowałam jako prostytutka – wydusiłam z lekkim zażenowaniem. – Tak poznałam moją partnerkę.

– To znaczy?

– Była moją klientką.

Znowu coś zapisał, ale mimo to cały czas pozostawał skoncentrowany na mnie. Czułam to bardzo wyraźnie.

– Jak długo pani tak pracowała?

– Prawie siedem lat.

Tak naprawdę byłam dziwką przez sześć lat i trochę, ale prawie siedem brzmiało lepiej niż ponad sześć. Fiksacja na punkcie siódemki. No i tej zastępczej czwórki. Może to miało coś wspólnego z tym, że urodziłam się siódmego kwietnia?

– Chciałbym przez chwilę porozmawiać o pani związku – zaczął. – Wspomniała pani, że nad tą sferą chciałaby pani najbardziej popracować.

– Tak.

– Co dokładnie chciałaby pani zmienić?

– Chciałabym zachować spokój, reagować normalnie, kiedy moja partnerka wychodzi na piwo ze znajomymi – powiedziałam. – Chciałabym zająć się swoimi sprawami, a później móc porozmawiać z nią o tym, jak świetnie się bawiła, kogo poznała. Chciałabym śmiać się razem z nią z zabawnych sytuacji, które się tam wydarzyły i wspierać ją... We wszystkim właściwie.

– Czyli dokładnie wie pani, jak chciałaby pani, by to życie wyglądało?

– Tak. Chcę dać jej to, na co zasługuje.

– Czyli chodzi głównie o pani partnerkę?

– Tak.

– A pani? Czego by pani chciała dla siebie?

Słyszając to pytanie, wyłączyłam się. Nigdy nie myślałam, czego ja bym chciała. Ja jako samoistne stworzenie, niezależna istota, która zasługuje... Zasługuje? Nie, odpowiedź na to pytanie była zbyt trudna do wydobycia. Może nawet w ogóle nie istniała.

– Chcę wspierać Agatę – odpowiedziałam wymijająco. – Agata to moja partnerka – wyjaśniłam z marszu.

Pokiwał głową. Było w nim tyle zrozumienia, że zaczęłam czuć się dziwnie spięta z powodu tego, że tam jestem, że siedzę na jego fotelu, że zabieram mu czas. Czułam lekką winę i jednocześnie rozluźnienie, ufność i pewien rodzaj radości, że byłam tam z razem nim.

Patrzył na mnie w milczeniu, zachęcając, bym mówiła dalej, a ja chciałam mówić. Czułam, że mnie rozumie. Nie musiał nawet się odzywać, samo jego spojrzenie zadawało pytania, a ja te pytania rozumiałam, albo przynajmniej wydawało mi się, że je rozumiałam.

– Teraz jest tak, że się umawiamy na telefon, kiedy ona wychodzi. Proszę, żeby dzwoniła co godzinę. Ale wystarczy, że spóźni się pięć minut i wszystko się zaczyna – wyznałam. – Przed tym umawianiem się było jeszcze gorzej...

Czekał cierpliwie. Nie przerywał mi, pozwalał na złapanie oddechu. Poprzedni terapeuci zawsze wykorzystywali chwilę ciszy na wtrącenie swoich opinii albo dodatkowych pytań, które wybijały mnie z rytmu. Zupełnie jak ludzie na co dzień. Nikt nie słucha. Każdy tylko czeka, żeby zacząć mówić, uzewnętrznić swoje przemyślenia, oświecać innych swoimi wątpliwej treści mądrościami, nieudolnie udowodniać swoją sprawność intelektualną, która w oczach słuchacza często jawi się jako umysłowe kalectwo.

– Zanim zaczęłyśmy się umawiać, wystarczyło, że po prostu wyobraziłam sobie godzinę, o której powinna zadzwonić,

a kiedy ten czas upłynął, zaczynała się panika. Ostatnio nie zadzwoniła i kompletnie mi odbiło.

– Co pani czuje w takich sytuacjach? – zapytał z przejęciem.

Podobało mi się to. Otaczał mnie troską. Czułam ciepło i spokój, jakie mi – przynajmniej na pozór – zapewniał.

– Czuję...

Pochyliłam się na fotelu, opierając łokcie o kolana. Wzięłam głęboki oddech, starając się poukładać obrazy gwałtownie przelatujące przez moją głowę.

– Pojawiają się dwie skrajne emocje – zaczęłam powoli. – Z jednej strony jest gniew, chociaż... to nie jest zwykły gniew. To jest czysta nienawiść.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Z drugiej strony jest paniczny lęk – ciągnęłam. – Te emocje są jakby... podkręcone do maksimum, a ja jestem pomiędzy nimi.

Zrobiłam pauzę, żeby zastanowić się nad kolejnością uczuć, o których powinnam opowiedzieć. Szukałam również odpowiednich słów, dobierając je nad wyraz ostrożnie. Cholernie bałam się niezrozumienia i tego, że zostanę źle odebrana.

– Gniew każe mi krzyczeć, mieć pretensje, oskarżać, odejść, odrzucić, krzywdzić emocjonalnie.

Wciąż milczał, wpatrując się we mnie z rosnącym zainteresowaniem, coraz bardziej rysującym się na jego bladej twarzy, co dodawało mi pewności siebie i dawało pewien komfort.

– Lęk natomiast każe mi milczeć. Spycha mnie na bok. Boję się, że przekroczę granicę i...

Zawahałam się. Powiedzenie tego na głos było dla mnie teraz zbyt przerażające. Już na samą tylko myśl serce biło mi szybciej i pojawiało się znajome ciśnienie.

– Rozumiem – przerwał spokojnie, zupełnie jakby czytał w moich myślach.

Ponownie zaczerpnęłam powietrza.

– Chcę wtedy krzyknąć, ale nie mogę. Czuję się rozdarta pomiędzy tymi dwiema siłami, a zarazem przez nie miażdżona. Rodzi to wrażenie potężnej bezradności. Zupełnie tak, jakby ścisnęło mnie żelazne imadło, tylko że od wewnątrz.

– Od jak dawna to trwa?

– Od prawie dwóch miesięcy. To znaczy... Zawsze się trochę takich sytuacji bałam, jakoś tak reagowałam lękiem... Może bardziej napięciem, ale od tych dwóch miesięcy jest tragicznie.

– Jak sobie pani z tym radzi?

– Nie radzę sobie. Kompletnie tracę nad sobą kontrolę, rzucając rzeczami, atakuję Agatę pretensjami.

– Czy jest coś jeszcze? – zapytał śmiało. Wiedział, że jest.

– Tnę się – odpowiedziałam bez wahania. – To znaczy... Cięłam się, właściwie...

Pogubiłam się we własnych myślach. A jeszcze przed sekundą byłam taka zdecydowana. Spokojnie. Oddech, on poczeka. I faktycznie czekał.

– Kiedyś się nie cięłam. Jak poznałam Agę, to po jakimś czasie zaczęłam to robić prawie codziennie. Później przestałam.

– I teraz już się pani nie tnie?

– Teraz już nie. To znaczy ostatnio miewam epizody, ale staram się nad tym panować.

– Co panią do tego popycha?

– Ta bezsilność. Nie tnę się, żeby bólem fizycznym odwrócić uwagę od bólu psychicznego – wyjaśniłam. – Czuję się tak gniewiona, tak bezradna, że bezrefleksyjnie biorę do ręki nóż, klucz bądź cokolwiek w ten kaliber i zaczynam zadawać sobie rany. Tnę się głównie w miejscach niewidocznych, na przykład na brzuchu, nogach.

Zanotował.

– A jak się pani nie cięła, to co pani robiła?

Kopał do oporu. Z jednej strony czułam dyskomfort, ale z drugiej cieszyłam się, że trafiłam na specjalistę, dla którego ważny jest każdy szczegół.

– Piłam.

– Dużo pani piła?

– Kiedyś codziennie. I jeszcze amfetamina – dodałam.

Teraz ufałam mu już prawie całkowicie. Potrzeba bliskości wzięła górę. Byłam gotowa wylewać z siebie wszystko, ciągle jednak pamiętając o kolejności i odpowiednim doborze słów. To znaczy prawie wszystko, bo samo słowo „amfetamina” wywołało w moim umyśle błysk, *flashback* (on, jego twarz, błękitne oczy, jak moje, jasne włosy, jak moje), a na rozmowę o tym nie byłam jednak jeszcze gotowa. I chyba nigdy nie będę.

– Od kilku już lat nie biorę, ale picie zostało. Będąc z Agatą, staram się ograniczać, chociaż ostatnio piłam sporo, nawet mimo zażywania leków.

– Ile konkretnie?

– Kilka piw dziennie albo mała wódka czy whiskey, chociaż wódki nienawidzę. Zdarzały się całe dni picia, od rana do nocy z przerwą na utratę przytomności gdzieś pośrodku.

– Zdarzały się?

– Tak, bo już tego nie robię, postanowiłam nie pić – usprawiedliwiłam się. – Od kilku dni jestem trzeźwa.

Nic. Milczenie, zrozumienie. Nie mogłam w to uwierzyć. Inny by mnie od razu zapytał, ile razy sobie obiecywałam nie pić i nie dotrzymałam obietnicy, i dlaczego. Tego typu wyrazy zaufania zawsze mnie rozczulały.

– Co panią pociąga w picciu?

Doskonale znałam odpowiedź na to pytanie. Lubiłam analizować swoje popędy i rozmyślać frywolnie.

– Żeby się odciąć. Kiedy piję, świat dookoła przestaje istnieć, jest jakby za szybą. Jestem oczywiście świadoma problemów,

które tam są, spraw, które wymagają uwagi, ale nie dotyka mnie to bezpośrednio. Jakby to ująć, życie mnie wówczas nie dotyczy – wytłumaczyłam. – To chyba główny powód, chociaż nie jestem pewna.

– Jakie są inne?

Zamknęłam oczy, dając sobie czas. Kolejny wdech i wydech.

– Pustka. Czuję pustkę. Świat jest pusty i ja jestem pusta w środku.

– To znaczy?

– Tak jakbym nie miała duszy czy osobowości, a zamiast tego tkwiła we mnie wielka otchłań, dziura wrzeszcząca o wypełnienie.

– Wypełnia ją pani piciem?

– Piję, bo ją czuję. Nie potrafię jej wypełnić – skwitowałam. – Nie wiem, kim jestem, często udaję.

– Kogo pani udaje?

– Nikogo konkretnego. Udaję raczej zachowania, które są społecznie akceptowalne. Przyglądam się ludziom i kopiuję – sprostowałam. – Bo ja często nie wiem, jak się zachować w sytuacjach wymagających kontaktu z innymi.

– Musi być ciężko tak żyć, bez osobowości – podkreślił.

Nie odpowiedziałam, ale przez to, co powiedział, poczułam się naprawdę dobrze. Nie ma to jak być rozumianą.

– Czy mogłaby mi pani powiedzieć, jak w takim razie wyglądają pani relacje z innymi ludźmi? – zapytał po chwili.

– Nie utrzymuję relacji z innymi ludźmi. Nie jestem miłośniczką rozwijania szerokiej sieci znajomych. Raczej typem outsidera. Zawsze byłam.

– Dlaczego?

– Nie czuję się dobrze wśród ludzi. Nie akceptują mnie. Jak już muszę być wśród nich, w jakiejś grupie, to widzę dezaprobatę na ich twarzach. Widzę ich spojrzenia, miny, które robią.

– Ma pani przyjaciół?

– Nie mam. Prędzej czy później każdy mnie zawodzi. Krzywdzi w jakiś sposób. Relacja ja – inni ludzie to relacja w każdym przypadku toksyczna.

Spojrzał ukradkiem na zegar wiszący na ścianie.

– Pani Magdo, nasz czas już dobiegł końca.

Zazwyczaj w tym momencie wstępowała we mnie pogarda do zawodu terapeuty. Zwierzenie się na czas nie należy chyba do rzeczy uwielbianych przez kogokolwiek. Nawet kiedy ja mówiłam swoim klientom, że sesja dobiegła końca, czułam się nieswojo. Tym razem jednak było inaczej. Było mi dobrze. Wydawało mi się, że jestem rozumiana i sama rozumiałam.

– Na następnym spotkaniu chciałbym porozmawiać o pani dzieciństwie.

Łagodnym spojrzeniem zapytał mnie o zgodę. Odwzajemniłam się kiwnięciem głowy wyrażającym przyzwolenie.

Odprowadził mnie pod same drzwi na parterze budynku, kulturalnie przepuszczając przez każde przejście. Kiedy szedł za mną, wyobrażałam sobie, że patrzy na mój tyłek, i miałam niezachwianą nadzieję, że tak jest. W końcu jakie jest prawdopodobieństwo, że facet – nawet wykształcony – nie spojrzy chociaż przez sekundę na zgrabne pośladki idącej przed nim kobiety. Nawet chorej psychicznie.